№ 7. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 2 Lutego (14 Lutego) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

SAM NA SAM

I.

Przy mem biurku sam siedziałem,
Sam — i smętne myśli moje,
A tych dziwnie smętnych myśli
Kolosalne były roje.

To prywatnej wprost natury
(Mózg nad temi się nie suszy),
To cierpienia literackie,
Czyli... płacz złamanej duszy.

Nieraz w szybę wzrok wznosiłem
I błądziło wtedy oko
Po przestworzu, po niebieskiem,
Jaśniejącem hen wysoko.

I mrugały do mnie gwiazdki,
Co je mędrce sucho liczą,
I mrugały, jakby na złość
Kokietliwie, zalotniczo.

A księżyca półowalna
Postać wcale okazała
Z grymasami finansisty
Od niechcenia mi mrugała.

A pod stropem szafirowym
Śpiące miasto ciężko dysze,
Mrucząc, jakby milion basów,
Przez co mamy... nocną ciszę.

Poza miastem, jak daleko
W przestrzeń ludzki wzrok dosięga,
Bielą pola się, a z niemi
Wyrównana Wisły wstęga.

I daremnie oko moje
Na coś patrzy, czegoś szuka,
Czegoś żąda, bo... ot właśnie
Do izdebki mej ktoś puka...

II.

Do mnie pukać o tej porze?
Niesłychane rzeczy jeszcze!
Ha, toż może ktoś, co zechce
„Obstalunki" robić wieszcze?

Z gracyą więc, znamionującą
Pokolenie twórców młode,
Drzwi otwieram, utrzymując
Równowagę i swobodę.

Ze zdumieniem wówczas patrzę,
„Ochów" sypiąc całą gamę,
Że przed sobą damę widzę
I to, mówię państwu, „damę!"

Zsuwam z ramion jej rotundę,
Jak królowej korny pionek,

A tam istny pod rotundą
Sklep jedwabiu i koronek!...

Dama była tajemniczo
W gęsty woal zakwefioną,
Zpod którego, jak brylanty,
Lśniąco-wielkie oczy płoną.

Gdzież posadzę owę damę
W położeniu mem niemiłem?
Wiem!... na łóżku, gdzie snów tyle,
Tak uroczych snów prześniłem...

III.

— „Jestem muza..." — Olaboga!
Wszak z tą panią znam się nieco,
Wszak jej oczy mi tak często
Na bezdrożu życia świecą...

Więc to muza? to jest muza?
Śród koronek i gaz steku,
Gwiazda Danta i Heinego,
Więc to muza z... końca wieku?

— Pani, mówię, pozwól wyrzec
Zbyt poziomym może stylem,
Że ją dawno znać mam szczęście,
Jestem bowiem jej — pupilem.

I chcąc zaraz udowodnić,
Że jaśnieję prawdy stroną,

Składam muzie grubą księgę
Na okładkach wyzłoconą.

— „Jakże poszło?” — Nieźle... wcale...
Dotąd... rok już mija przeszło,
Od nakładcy — do księgarzy
Pół nakładu się rozeszło.

To mnie jednak bardziej martwi,
Że księgarze więksi, mali
Nic podobno do tej chwili
Publiczności nie sprzedali.

Muza wargi swe odęła
I szepnęła: — „Moje dziecię,
„Bo wy, proszę was, kochani
„Pisać *„modnie”* nie umiecie.

„W waszych sercach jakaś zawsze
„Utajona krwawa rana,
„Nie idziecie śladem Zoli
„Lub Daudeta, Maupassanta...”

Na ten temat wiodła dalej
Plan swem słowem barwnem, śmiałem,
I mówiła i prawiła
A ja — stałem i słuchałem.

Aż w konkluzyi z mej izbiny
Płoniejąca wyszła cała,
Tylko woń „opoponaksu”
Po niej długo pozostała...

Paweł Kośmiński.

MEISSONIER.

Sztuka malarska w ostatniem ćwierczwieczu przechodziła najnowsze fazy postępu, w których naturalizm i impresyonizm zaznaczały się wybitniej. Obydwa te kierunki i dzisiaj wywierają potężny wpływ na malarstwo, jeden zaś polega na braniu przedmiotów z natury tak, jak one w niej istnieją bez szczególnego wyboru artystycznego, a zato, wiernem ich odtworzeniem na płótnie — drugi każe wierzyć, że chwilowe wrażenie, natury czysto optycznej, może i powinno stanowić dla malarstwa treść wystarczającą. Jeden kierunek kłamie jednostronnością, bo poza kształtem widomym natury nie chce widzieć, a naturalności w faktach spełnionych znaczenia duchowego nie uznaje—drugi odpycha sztucznem doktrynerstwem, bo każe wierzyć, że najpierwsze wrażenie oka daje umysłowi obraz najprawdziwszy. Jest-to fałsz, którego cząsteczka prawdy zależy na fizyologii oka, nie zaś na stosunku widzenia do przedmiotu widzianego, a cóż dopiero do wrażeń natury psychicznej.

Sztuka, która te obie fazy poprzedziła, była na drodze bliższej prawdy i prostej. Wymagała ona nietylko naturalności plastyki, nietylko charakterystyki typowej, ale i wrażeń estetycznych, bez wywoływania których sztuka celu nie ma. Na takiej drodze, przy doskonaleniu techniki i form, przy ćwiczeniach co do pojmowania natury taką, jaką się ona ukazuje wciąż, nie zaś w pierwszem wrażeniu oka—można było zajść bardzo daleko. Bez naturalizmu i impresyonizmu bywała sztuka i prawdziwą i wymowną. Któż nie przyzna, że bywała taką w przepysznych malowidłach zmarłego przed paru tygodniami Meissoniera, w malowidłach, które na jednym calu więcej streszczały prawdy i natury, niż niejedno olbrzymie płótno naturalistyczne?

Jan Ludwik Ernest Meissonier urodził się w roku 1813 w Lugdunie, a za wzory do pierwszych studyów samodzielnych służyły mu obrazy mistrzów holenderskich w galeryi Luwru.

Wpływ ich z pewnością wytknął mu cały przyszły kierunek: najszlachetniejszy realizm, ale wszechstronny, ogarniający całkowicie istotę ludzką. Prawda w postaci, w rozmiarach, w kształtach, w proporcyach, w wyrazie twarzy, w charakterystyce, w stosunku i harmonii fizycznej i duchowej — oto właściwości tego mistrza. Ponieważ nigdy nie szukał ubocznych efektów, ani ubocznie zdobywanych tryumfów, przeto nigdy, ani na chwilę nie stawiał środków sztuki na miejscu jej celów. Ztąd może poszło, że kolorystą w szerszem znaczeniu nie był i malował tylko postacie męzkie. A jak w typach, tak w sytuacyach był prawdziwym i realistycznym. To tylko podatnem było dla sztuki jego, co przemawiało prawdą i charakterem. One były celem jego pracy i nigdy nie ustępowały w niej miejsca ani akcesoryom, ani efektom światłocienia, ani jakimśkolwiek przewagom cząstkowym.

Pozostawił Meissonier bardzo dużo dzieł, które ceniono literalnie na wagę złota dla tych wszystkich zalet mistrzowstwa, świadomego swych zadań. Takie malowidła jak „Malarz szyldów,” arcydzieło charakterystyki, jak „Zebranie u Diderota,” „Napoleon III pod Solferino,” „Szarża kirysyerów,” „Powrót Napoleona I” pozostaną na zawsze chlubą malarstwa, niedoścignionemi wzorami, wobec których adepci najsprzeczniejszych kierunków pochylą głowy.

Meissonier umarł, dożywszy ośmdziesięciu lat wieku, syt sławy, majątku i zaszczytów dostępnych dla artysty. Gwiazda najświetniejszego rozkwitu sił jego świeciła przed trzydziestu laty, ale z promieni, które rzuciła na ziemię, nie zgasł dotąd ani jeden i nie zgaśnie, dopóki ludzie będą mogli oglądać jego arcydzieła.

Rz.

Z TYGODNIA

Sceptyczny dyablik, żyjący w wiecznej ze mną niezgodzie i, podsuwający mi — gdy mowa o sprawach kobiecych — pióro pesymizmem zatrute, ciężką ma w tym tygodniu do przełknięcia pigułkę. Napróżno bowiem, satyrycznie wykrzywiony, powtarzałby mi, jak echo bezmyślne, zarzuty czynione zwykle usiłowaniom niewieścim. Napróżno dowodziłby, że panie nasze zbyt wiele sił trwonią na teoretyczne rozprawy o emancypacyi, aby w praktyce nie sporadycznymi objawami, lecz konsekwentnie grunt dla niej zdobywać. W kronice działalności ich przychodzi mi zanotować fakt, który aż nazbyt jasno wskazuje, iż nie ferment to już, zapalone tylko obejmujący głowy, lecz praca poważna, powoli do podstaw stosowana. Usiłowania podobne przygotowują grunt do gmachu, wobec którego specyalne wykształcenie niewieście nie będzie się już zdawało pojedynczą, bez celu ku górze strzelającą wieżycą.

Za taką myśl szczęśliwą, do podstaw właśnie sięgającą, uważamy nabycie przez hr. Platerównę folwarku pod Piasecznem, wcelu utworzenia z niego wzorowej fermy, jako szkoły praktycznej gospodarstwa niewieściego.

Zakład w Chyliczkach, przez władzę już zatwierdzony, obliczony jest narazie na trzydzieści wychowanek, oprócz dziewczyn wiejskich, które znajdą tam bezpłatną naukę gotowania, prania, gospodarstwa nabiałowego i t. d.

Widmo kobiet, wyposażonych w tak zwane „wyższe wykształcenie” naszych pensyj, a następnie marnujących najlepsze swe siły moralne w walce o chleba kawałek, widmo tych, które pozbawione ognisk rodzinnych, chleba tego znaleźć nie mogąc cofa się wobec programu nowej szkoły. Nie wymagając bowiem długiej nauki, będzie dawała praktyczne, natychmiastowe rezultaty. Sądzimy też, iż 30,000 rs., ofiarowanych na zakupno folwarku, stokrotnie się i finansowo i moralnie zacnej inicyatorce opłacą.

A przytem co to za pociecha pomyśleć, że za lat kilka nie będę już słyszał na prawo: otyłej pani majstrowej, zaklinającej się „na rany Bozkie,” że „z temy sługamy wytrzymać nie można;” na lewo: ślicznej mecenasowej, lub doktorowej, która ci powie: „Ah, cher monsieur, z naszą służbą oszaleć trzeba; one nic nie umieją!”

Otóż będą umiały, szanowne panie, tylko szkół takich więcej i coraz więcej zakładajcie!

Do pomyślnych również objawów zaliczyć należy projekt praktycznego nauczania języków, w sposób przyjęty przez Stany Zjednoczone, oparty zaś bardziej na ćwiczeniach i wprawie, niż na niewolniczem studyowaniu gramatyki. Wprawdzie otwarte przed paru laty wyższe kursa języków upadły, niemniej sądzę, iż szkoła podobna kobietom, chcącym pracować na polu nauczycielskiem lub handlowem, rzeczywiste może oddać usługi.

Gdy zaś poważne te cele zajmą na seryo główki naszych królowych...

— Tylko główki — powtórzył w tej chwili szyderczo ów sceptyczny dyablik, w stalówkę mą zaklęty.

— Dlaczego?

— Bo w piersiach służących za witrynę do wypożyczonych klejnotów niema miejsca na chęć poważną, lub szlachetniejsze uczucia.

— Ależ przesadzasz...

— Jakto, nie czytałeś? Te panie złożyły wciągu jednego miesiąca 500 rs. za wynajęcie świecideł, których kupić nie są wstanie. Garść ich więc gotowa jest złożyć 6,000 rs. rocznie za strojenie się w cudze piórka, za blichtr i blagę. A czy wiesz ile dobrego sumą taką uczynić można?

Spuściłem smutnie głowę, sięgnąwszy zaś po „Wszechświat,” zacząłem rozbierać szczegóły, dotyczące sztucznej fabrykacyi rubinów i szafirów. Tajemnica wytwarzania ich na drodze związków chemicznych, odkryta przez uczonych francuskich, dziś jeszcze czyni produkcyą nader kosztowną. Zczasem jednak, gdy wynalazek, stanowiący obecnie tryumf nauki tylko, zostanie zastosowany na szeroką skalę do celów praktycznych, panie nasze nie będą potrzebowały uciekać się do „wypożyczanego” blasku. Gdyż albo zamiłowanie do świecideł, napróżno zwalczane przez cywilizacyą, da się wtedy w tańszy sposób zadowolić, lub też zabawy publiczne, służące za główne pole do popisów z nie-

swojemi klejnotami, spospolitująsię i stracą na uroku. Rzecz to bardzo możliwa; niwa ta bowiem przypomina mi typowe „raubwirtschaft,” w którem dopóty wyzyskuje się dorywczo glebę, nic jej wzamian nie dając, aż wyjałowiona przestaje przynosić plony, choćby plony te... miały na najszlachetniejsze służyć cele.

„Tygodnik illustrowany,” donosząc o tymczasowym rezultacie swego konkursu na rysunki, zawiadamia, iż otrzymał 52 prace, z których niejedna zapowiada talent młody a silny. Krótka ta wzmianka podsunęła mi, jak zwykle, zapytanie, czy też wśród pokaźnej liczby rysunków znajdzie się choć jeden wybitny, ołówkiem kobiecym nakreślony? Wobec zapału, wzbudzonego przyjazdem Modrzejewskiej i sądów krytycznych, rozbierających karyerę jej sceniczną, dały się znów kilkakrotnie słyszeć zdania, iż talent jej wykonawczy, to najwyższy wyraz genialności niewieściej, która „odtwarzając” myśl cudzą, własnej jednak „stworzyć” i w artystyczne przybrać kształty nie potrafi.

Oby sąd ten znalazł pierwsze zaprzeczenie w konkursie rysowniczym. Wyglądamy tego z równą niecierpliwością, jak gruntownych objaśnień pana Dygasińskiego co do emigracyi brazylijskiej. Głośny od paru miesięcy podróżnik powrócił już w progi domowe. Teraz więc nic mu zapewne nie przeszkodzi w odmalowaniu dokładnem stosunków zaoceanowych, odzwierciedlenia których napróżnośmy w dorywczych jego korespondencyach szukali. Zapowiedziana depeszą z Bremy powieść na tle brazylijskiem może, wychodząc z pod takiego pióra, być ciekawym i cennym dla literatury nabytkiem, lecz niemniej nie rozjaśni ona w poważny sposób poglądu naszego na losy polskich wychodźców i przyszłość, jaka ich czeka w pustyniach amerykańskich.

Wraca również z Afryki Hajota, wioząc zapewne obfite zbiory do Muzeum etnograficznego, mającego otworzyć się z wiosną we Frascatti, lub do wystawy etnograficznej, przy Muzeum przemysłu, pomnożonej świeżo kolekcyą, zebraną przez pana Nestorowicza w Ameryce południowej. Maluczko, a będziemy mieli doskonałe o obcych ludach pojęcie. Tem doskonalsze i dokładniejsze wreszcie, iż odwdzięczając nasze zajmowanie się niemi, poczciwe a bardziej ucywilizowane, więc wdzięczniejsze plemiona, same się ku nam garną.

Wywiązuje się ztąd wzruszająca w prostocie swej wymiana międzynarodowych usług. My wysyłamy swoich Sienkiewiczów, Dygasińskich, Nestorowiczów, Rogozińskich i t. d., aby cywilizowali Kafrów, Hotentotów, Patagończyków i Papuasów, lub przyglądali się Beduinom i Brazylianom; Francuzi wzamian, Niemcy i inne nacye biegną, by nam w biedzie pomagać.

Oto konsorcyum paryskich przedsiębiorców i kapitalistów, przybywszy do Warszawy, naradza się w tej chwili nad polepszeniem naszego stanu ekonomicznego przez założenie tu kilku, wyraźnie kilku lombardów. Stopa opłaty ma być bajecznie niska, dobroczynna nieledwie... 12 proc., prócz asekuracyi, składowego, komisowego i t. d. Pojedyncze przytem egzemplarze ustawy, ujęte w oprawę z zastawionych ślubnych obrączek, zostaną ofiarowane do naszych pełnych chwały zbiorów etnograficznych, gdzie umieszczone obok zatrutej strzały, będą stanowiły poglądowe porównanie pierwotnej broni przedhistorycznej z udelikaconą maczugą „fin de siècle.”

Przedsiębierstwo to zresztą zostanie na wielką rozwinięte skalę. Na zwykły lombard lada Żyd, lub lada... magnat by się zdobył. Cudzoziemcy obiecują coś wspaniałego... grandioso! Młodzieniec, oddający miniaturę matki lub ryngraf dziada do ich lombardu, nie będzie potrzebował złota tam zgarniętego w pospolity, ordynaryjny sposób wydawać. Przy placu Wareckim, na miejscu dzisiejszego szpitala, staną kosztem tej współki olbrzymie gmachy publiczne, mające — według pogłoski — objąć sale koncertowe, wspaniałe hotele, kawiarnie i tam dalej.

Zaopatrzony więc w „Sport” pana Romiszowskiego, oraz w pismo „Jeździec i myśliwy,” zapowiadane przez pana Wotowskiego, znajdzie tam ów młodzieniec pole do zadowolenia wyrafinowanych swych instynktów. Co do mnie jednak, lękam się, abym owemu olbrzymiemu przedsiębiorstwu nie wypadło także, w mieście lombardów, jakiem będzie wtedy można nazwać Warszawę, zbudować projektowanej morgi, czyli domu przedpogrzebowego dla samobójców, i osobnych wagonów do wywożenia nie starożytnych miniatur i ryngrafów wprawdzie, bo tych już niewiele posiadamy, lecz nowych partyj emigrantów, którzy tu już nic do zastawienia nie będą mieli.

Okazy jednak takie mogą w ich etnograficznych muzeach stać się trochę niewygodną zdobyczą.

Anatol.

PODWÓJNE BOGACTWO.

NOWELA

PRZEZ

EMJOTA.

(Dalszy ciąg.)

Pobiegłem do Towarzystwa kredytowego, gdzie, oprócz dawniejszych kilkunastu tysięcy, powinien był złożyć Godębski czterdzieści tysięcy rubli, które wziąłem za zboże, i sześćdziesiąt tysięcy pożyczone na budowlę młyna parowego.

Zatrzymał się, niby straszno mu było wymówić.

— I cóż? — zapytała.

— Rachunek mój w banku okazał się czystym.

— Zatelegrafowałem natychmiast do W. Woli— ciągnął dalej po pauzie, — odpowiedziano mi, że p. Godębski od tygodnia wyjechał niby do Warszawy; uciekł naturalnie za granicę.

— Więc wszystkie te pieniądze przepadły?

— Gdybyż one tylko!

— Jakto? czyż straty są jeszcze większe?

— Na drugi dzień otrzymałem dwa listy, jeden od kupca jakiegoś zagranicznego, w którym ten mię zapytywał o detale sposobu zabierania mego zboża, jakie zakupił u mego rządzcy, wydając przekaz na Hamburg, na siedmdziesiąt tysięcy marek.

Pani Zofia słuchała bez ruchu, bez słowa, niby zobojętniała, skamieniała pod gradem ciosów.

— Drugi, od pomocnika rządzcy, oznajmiał, że przed swym wyjazdem Godębski pożyczył u miejscowych kapitalistów, układając się o drobne sumy z każdym zosobna, jak można przyrostem, przeszło czterdzieści tysięcy rubli. Pieniądze te miały być użyte niby na jakieś potrzeby gospodarskie, do kasy jednak majątkowej nie zostały złożone.

Pan Ignacy sam nie wiedział czy prawdę, czy też nieprawdę opowiada, miał jednak wyraz twarzy człowieka zupełnie zrozpaczonego. Pani Zofia stała jak posąg.

— Przeczytawszy ten list, wyszedłem z domu, idąc gdzie oczy patrzą. Wstąpiłem bezwiednie do kawiarni. Zbliżył się do mnie jeden ze znajomych i rzekł, podprowadzając do jakiegoś niemłodego, otyłego pana: „Oto jest pan Worski, przyszły właściciel majątku pańskiego.”

— Pan musisz się mylić zapewne co do majątku, lub też co do osoby. Jak dotąd, nigdy piędzi ziemi nie sprzedałem.

— No, tak, dotąd, lecz teraz, ta twoja Wielka Wola...

— Więc cóż? jest moją W. Wolą.

— No, teraz już niezupełnie, albowiem kupił ją p. Bamberg.

— Co to ma znaczyć?

— A to przecież mnie — odezwał się ów Bamberg łamaną polszczyzną, — sprzedałeś pan swój wieś przez pośrednictwo swego plenipotenta.

— Zrozumiałem wszystko. O małom nie upadł! Opanowałem jednak wzruszenie i zapytałem napozór obojętnie o wysokość zadatku i treść sprzedażnej umowy. Okazało się, że dotrzymanie jej obwarowano karą trzydziestu tysięcy rubli, nabywca zaś wypłacił z umówionych dwustu tysięcy (zaledwie czwarta część wartości rzeczywistej) sto dwadzieścia tysięcy rubli.

Pani Zofia oburącz chwyciła się za głowę, ściskając ją konwulsyjnie.

— A więc skazani jesteśmy na nędzę?— zapytała, patrząc szeroko rozwartemi oczyma w jeden punkt.

— Na nagiej ziemi, bez budynków, remanentu, nasienia na przyszły rok, bez grosza w kasie majątkowej, na gołej tylko ziemi, powtarzam, nagle zaciężyło trzysta trzydzieści tysięcy rubli długu.

Załamał dłonie.

Pani Zofia podniosła oczy na męża i łzy się jej gradem z nich puściły. Rzuciła mu się na szyję, wołając przerywanym głosem:

— Ignasiu mój drogi, kochany, tylko nie rozpaczaj!

Panu Ignacemu też łzy popłynęły po twarzy. Ujrzawszy je i tłumiąc własne, rzekła ona wesoło i pieszczotliwie:

— Fe, wstyd! Mężczyzna i płacze! Dość tego, dość, mój biedny chłopcze!

I tuląc się do niego, całowała go w usta, w oczy.

Wstyd mu było rzeczywiście, tylko nie tych łez, lecz podejrzeń. Chciało mu się rzucić do nóg żonie, wyznać oszukaństwo, nie wiedział jednak jak to zrobić? Przyszło mu na myśl, że po tak wielkiem wstrząśnieniu, nowe, nagłe i chociażby radosne mogłoby być niebezpiecznem. Chciał jednak ująć choć trochę czarnych barw odmalowanemu przez siebie obrazowi.

— Nie rozpaczaj-że i ty — rzekł, zwracając pocałunki. — Nie wszystko jeszcze stracone, Wielkiej Woli nie oddam za dwieście tysięcy rubli, albowiem nawet płacąc trzydzieści tysięcy kary przy nagłej nawet sprzedaży, uda mi się wziąć za nią więcej. Mam nadzieję, że ona spłaci wszystkie długi, pozostanie więc nam Wólka i ten dom.

— Co mówisz? Boże mój! Więc nie jesteśmy jeszcze zupełnie biedni?

— Z Wólki można liczyć tylko na cztery i pół do pięciu tysięcy rubli rocznego dochodu, dom zaś zajmujemy sami.

— Dziś, ale przy takiej zmianie warunków połowę śmiało będziemy mogli wynająć. Trzeba będzie do gruntu zmienić życie, a jak to uczynić, będziemy debatowali jutro, dziś już późno, zresztą głowa mię boli i chaos taki w myślach. Dobranoc ci i nie martw się!

Kilka razy postanawiał sobie pan Ignacy zakończyć wieczór wyznaniem w jakikolwiekbądź sposób całej prawdy, w tej jednak chwili pomyślał w duchu: „jakże też ona zechce zaradzić złemu?" i oddał tylko dobranoc.

Światło zagaszono w małżeńskiej komnacie, lecz panu Ignacemu się nie spało.

— I poco ja ją tak męczę? — powtarzał sobie w myśli; — to podle z mojej strony!

Zdecydował się wreszcie, nie odkładając ani chwili, wyspowiadać się z grzechu.

— Zosiu! — zawołał.

Cisza!

— Czyż być może, ażeby ona mogła po takiem wzruszeniu tak prędko zasnąć? — rozumował pocichu pan Ignacy, i trochę mniej podniesionym głosem powtórzył: — Zosiu!

Słyszała dobrze te wołania, nie odzywała się jednak naprzód dlatego, żeby pokazać mężowi, że wcale tak ją wieści Hiobowe nie przeraziły, że snu z powiek spędzić nie były nawet wstanie, powtóre zaś, że czuła potrzebę choć trochę myśli zebrać. Zdawało się jej, że na niej teraz spoczywa odpowiedzialność za byt rodziny, za spokój męża. Trzeba było obmyśleć swą rolę, to też myślała.

— Śpi biedactwo — mruknął pan Ignacy i po chwili zasnął sam.

W nocy zbudziło go tłumione łkanie, nadaremnie jednak zapytywał żonę, czy rzeczywiście płakała?

Uspokojony ciszą, powiedział sobie, że płacz ten musiał mu się przyśnić, i zasnął znowu.

Kiedy na drugi dzień zobaczył żonę bladą, oczywiście po nocy bezsennej i z oczyma zaczerwienionemi od łez, zdało mu się, że jest największym zbrodniarzem na świecie.

— Gotowa się jeszcze rozchorować zpowodu mojej niezmiernej głupoty. Dość już tego!

Jak gdyby odpowiadając na tę jego myśl, pani Zofia rzekła, siląc się na wesołość:

— Idź pić kawę, a za pół godziny posiedzenie finansowe.

— Jak też ona zamierza urządzić życie? — pomyślał pan Ignacy i poszedł do jadalni.

Po przejściu do gabinetu, rozpoczęła posiedzenie pani Zofia pytaniem:

— Ileż da nam wynajęcie połowy tego domu?

— Pewno tysiąc rubli.

— A zatem wydatki swoje powinniśmy wcisnąć w ramy najwyżej pięciu i pół tysięcy.

— Tak, na nieszczęście — odrzekł smutno pan Ignacy, kiwając głową, a zaczynał wchodzić w rolę.

— Nie bluźnij! Ileż jest rodzin, co mając trzy razy mniej, nie uważają się wcale za nieszczęśliwe, a rade są z życia i dzieci chowają na porządnych i wykształconych ludzi! O tem i my najbardziej pamiętać powinniśmy. To jeszcze bogactwo...

— Zapewne dla wielu, lecz kiedy się już ma pewne przyzwyczajenia...

— To się od nich odzwyczaja i wszystko idzie dobrze.

— Tak to, tak, ale jak trzeba będzie wyrzec się bywania na balach i...

— Dzieciństwo! Jak ty możesz mówić coś podobnego?! Któżby mógł dbać o to?

— Łatwo to powiedzieć, ale jak przyjdzie dzień balu u hrabiostwa Z...

— Już uprzedziłam Hersego, że suknia mi nie będzie potrzebna.

Serce panu Ignacemu radośnie zabiło.

— Ale tymczasem pora do roboty. Trzeba się dobrze obliczyć. Nie miej mię tylko, proszę, za jakąś niedołężną istotę, która potrafi trwonić, lecz nie rachować pieniądze; na gospodarstwie znam się wybornie, potrafiłabym nawet sama cały obiad ugotować, naturalnie z książki, lecz po krótkiej praktyce napewno obeszłabym się i bez niej.

Ale dość tej gawędy!

— Od czegóż zaczniemy?

— Naturalnie od obcinania wydatków, powozy i konie sprzedamy.

— Bój się Boga, kobieto, to niepodobieństwo! Jakże się ty będziesz mogła obyć?...

— Będę musiała. Ta operacya da nam parę tysięcy gotówki i o półtora tysiąca zmniejszy wydatki.

— Rób jak chcesz.

— Następnie oddalimy kucharza, kuchcika, jednego lokaja i dwie służące.

— To już jest niemożliwe! Cóż jeść będziemy? Któż porządki będzie w domu robił? kto usłuży?

— Do gotowania przyjmiemy kucharkę. Będzie to wprawdzie dla nas w początku pewnem umartwieniem, lecz prędko się przyzwyczaimy. Do usługi pozostaną jeden lokaj i służąca, dość będzie na zmniejszony lokal, a będzie to stanowiło oszczędność co najmniej dwóch tysięcy rocznie.

— Twoja wola. Mamy więc trzy i pół, jeszcze trzeba wyrzucić dwadzieścia jeden tysięcy.

— Z rubryki swoich strojów strącam trzy tysiące.

— Ależ to znaczy wszystko chyba!

— Już to nie twoja rzecz, nie troszcz się, będę ubrana porządnie. Wykreślam z budżetu rubrykę balów, zabaw i przyjęć, conajmniej sześć tysięcy rubli.

— A więc będziemy siedzieli jak wilki w jamie, nie widząc ludzi?

— Nie obawiaj się, jakoś się stosunki z nimi ureguluja na nowych warunkach. Prawda, że może trzeba się będzie wyrzec pewnych znajomości, lecz dziś nie czas o tem mówić.

— Pozostaje dwanaście tysięcy.

— Odrzuciwszy koszta corocznych podróży zagranicznych, tylko siedm tysięcy.

— Ja zrzekam się wydatków klubowo-kawalerskich: pozostaje cztery tysiące.

— Chodźże, niech cię pocałuję, poczciwy chłopaczku. Ale będziesz się nudził!

— Dzieciństwo, moja droga. — Złapał siebie nagle pan Ignacy na tem, że omało nie zaczął uważać się za bohatera.

— Cóżby tu jeszcze takiego wymyśleć? — zapytała żona niby samę siebie.

— Jakto co? Panna Auban będzie dla nas zadroga.

Pani Zofia aż podskoczyła na fotelu.

— Co też bo ty wygadujesz, mój kochany! Dajże pokój! Ona zadroga? Nauczycielka, której dzieci jak samej sobie powierzyć mogę, znająca doskonale języki francuzki i angielski i prócz tego muzykę, a co najważniejsze nadzwyczaj wykształcona, rozumna, dobra i tysiąc dwieście rubli! Ależ to za bezcen! Chciałam jej koniecznie podnieść pensyą od przyszłego roku o trzysta rubli, a może i trzeba będzie jeszcze to uczynić! Ani słyszeć nie chcę o rozstaniu się z nią; Ludwisia do niej tak przywiązana! Gdybym ją mogła sama zastąpić, ale język angielski zaniedbałam.

— Więc zgoda na pannę Auban, lecz co się tyczy p. Pusowskiego...

— Doskonały nauczyciel! Karolek tak chętnie robi z nim lekcye i to tylko z nim. Pięćdziesiąt rubli miesięcznie takiemu nauczycielowi—ależ tylko szczęśliwy los mógł go nam nastręczyć!

— Pomyśl jednak, że same pensye nauczycielom będą stanowiły tysiąc ośmset rubli.

— A zatem na resztę wydatków pozostanie trzy tysiące siedmset rubli.

— Zdawało mi się, że i na dzieciach należałoby zrobić jakąś oszczędność.

— Byle nie na ich umyśle i zdrowiu. Możemy mniej im dawać cennych zabawek, dostarczać mniej drogich a ulotnych przyjemności, robić mniej kosztowne ubrania, na tem można urwać... tysiąc rubli rocznie.

— Zostaje więc jeszcze trzy. A masz tam przecież jeszcze jakieś wydatki dobroczynne.

— Oszczędność pewną na głośnej, oficyalnej, towarzyskiej dobroczynności już policzyłam, mówiąc o zabawach.

— A te jakieś tam pensye?

— O, z nich mało co da się zmniejszyć!

— Dlaczego?

— Czyż mogę przestać płacić dwom wdowom, którym właśnie moje pieniądze dają możność podtrzymania bytu rodziny? Chłopiec jednej chodzi do szkoły, dziewczynka drugiej też. Tej staruszce obiecałam, że do śmierci...

— Bardzo to wszystko jest piękne — odrzekł p. Ignacy, któremu tchu brakło z radości, — lecz chciałbym wiedzieć, ile to tam tego będzie?

— Dwie pensye po piętnaście rubli, jedna pięć, a jeszcze jedna dziesięć, razem od pięciuset do sześciuset rubli rocznie. Może się to później wrazie potrzeby zmieni. A przecież trudno powiedzieć umierajcie z głodu, bo my mamy teraz tylko pięć tysięcy pięćset rubli dochodu.

— Zostaje więc nam tedy na utrzymanie domu trzy tysiące sto rubli; pamiętaj, że to tylko dwieście pięćdziesiąt rubli miesięcznie.

— Rzeczywiście, niezmiernie mało! Co tu począć? Tysiąc pięćset rubli oszczędzimy bez trudu na samej kuchni.

— Jeszcze tysiąc pięćset.

— To się już można będzie rozejrzeć później, po pierwszym miesiącu.

— Dodaj więc jeszcze do dochodów tysiąc rubli, bo za Wólkę da nam dzierżawca o tyle właśnie więcej; zpoczątku umyślnie powiedziałem mniej, żeby coś było na zapas.

— Jeśli tak, tośmy już związali końce! — zawołała p. Zofia, zrywając się.

— W słowach, lecz czy potrafisz utrzymać dom za trzy tysiące rubli? bo reszta pójdzie napewno na inne konieczne wydatki.

— Utrzymam, utrzymam! Inne żony mniej mają, a rodziny ich nie giną.

— Obaczymy, jak też ty sobie dasz radę!

Teraz już pan Ignacy stanowczo zdecydował się na wypróbowanie żony pod tym względem.

Natychmiast po naradzie, zawiadomiła pani Zofia pannę Auban o zmianie, jaka musi zajść w trybie życia. Nauczycielka nietylko zgodziła się pozostać, lecz zaproponowała nawet zmniejszenie swej pensyi, o czem jednak pani Zofia słyszeć nie chciała. Lokaj Walenty i jedna ze służących tegoż dnia zaraz odeszli, reszta zaś usługi, skazanej na wydalenie, jeszcze na trzy dni pozostała. Tegoż dnia zaraz przysłani faktorowie oglądali konie, powozy i zbyteczne meble. Powróciwszy na obiad, zastał

pan Ignacy żonę krzątającą się, ożywioną, bez śladu łez i nocy bezsennej.

Trzeciego dnia już tylko meble pozostały z wystawionych na sprzedaż rzeczy, a to dlatego, że pan Ignacy umyślnie niezmiernie z niemi się drożył, obiecując wciąż żonie lepszego kupca.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Kwestya jakich wiele.

Wkroczyliśmy w sferę Wielkiego postu, który w roku obecnym pośpieszył się bardzo, może dlatego, aby nas zatrzymać w pochodzie szaleństw zapustowych.

Kto wie, może chce nas zmusić do medytacyj nad *kwestyami* poważnemi, bezpośrednio związanemi z życiem? A tyle ich jest!...

Oto niedawno odebraliśmy liścik, bardzo kolorowy i wyzłocony, bardzo pachnący i bardziej jeszcze nad to wszystko zajmujący. Jakaś drobniutka rączka (widzę to po piśmie delikatnem i miękkiem) kreśli ten smutny obrazek kolorami ogrzanemi ciepłem serdecznem: „Dziś po południu przyniosła mi młoda szwaczka suknię wykończoną na bal, a zamówioną przed dwoma dniami. Panienka ta (w moim wieku), bardzo jeszcze młoda, gdym przymierzała suknię, upadła i zemdlała! Cuciłam ją wraz z moją pokojówką i wróciłyśmy jej przytomność, ale dopiero po wielu kłopotach i przy ogromnym niepokoju. Na zapytanie czy nie jest chora, odpowiedziała że nie — tylko, aby wykończyć na termin moję sukienkę, siedziała z dwiema towarzyszkami dwa dni kamieniem, bez jednej godziny snu i odpoczynku... bez jednej łyżki strawy. Jest bardzo wątła i blada, drży i chwieje się, a jak mnie objaśniła, zarabia trzy złote na dzień i musi z tego żyć razem z bardzo biedną matką."

Liścik kończy się temi słowy:

„Nie wiedziałam dotąd o tem, że są kobiety, które tak pracują i tak nędznie żyć muszą. Czy to podobna, aby tak miało być zawsze i że się na to środka nie znajdzie?"

Panna Helena (tak brzmi podpis na ostatniej stronie listu) rzuca pytanie, które się już nieraz wyłaniało ze szpalt dzienników, a zawsze napróżno. Otoczona wygodami, stykająca się z pracą ludzką wtedy tylko, gdy jej na posługi dla siebie i swoich przyjemności potrzebuje, nic dziwnego, że nie ma najmniejszego wyobrażenia o losie tysięcy kobiet „w tym samym wieku," których jedynym celem życia jest... kawałek suchego chleba, a jedyną rozkoszą godzina snu, której im nieraz braknie! Panna Helena nie wie o tem, że pracownica, która ma tylko do wyżywienia siebie i „bardzo biedną" matkę, a zarabia 45 kopiejek dziennie, jest jeszcze względnie bardzo szczęśliwą, choćby dlatego tylko, że zarabia i pracować może, bo podczas zimy tysiące innych napróżno o to żebrzą. Nie wie zresztą i o tem spokojna aż dotąd, a serdeczna moja korespondentka, że są i takie pracownice, które mozolą się jedynie w nadziei otrzymania płacy kiedyś, a tymczasem o ciężkim trudzie przechodzą długą epokę próby.

Prawda, panno Heleno, że te szczegóły nadają się wybornie do rozmyślań wielkopostnych i że mogą być niewyczerpanem źródłem pokutniczych utrapień i smutków za karnawałową pustotę dla główek myślą i serc które czują? I, niestety, takie głowy i serca widzą z boleścią, że ta *kwestya*, tak bardzo domagająca się poprawy, nie jest wcale cukierkiem, łatwym do przełknięcia. Trzeba bowiem pani wiedzieć, że u nas wygląda ona daleko łagodniej, niż w Niemczech, we Francyi lub Anglii i wszędzie, gdzie kobieta własnemi rękami chleb swój zdobywać musi. W Paryżu na przykład masy pracownic igły muszą się zadawalniać zarobkiem o wiele mniejszym, niż owe 45 kop. dziennie, i to bez żadnego względu na uzdolnienie. I owszem: wyćwiczona w swojem rzemiośle szwaczka bielizny zarabia tam od świtu do nocy niecałego franka, a nie ma żadnej nadziei, aby kiedykolwiek zarabiać mogła więcej.

Cudze cierpienie nie jest bynajmniej pociechą w dolegliwościach, a to, że gdzieindziej jest gorzej, nie dowodzi wcale, aby się złego zmniejszyć nie należało. Złe u nas posiada jeszcze tę stronę dodatnią, że istnieje w fazie zaczątkowej, gdy na przykład w takim Paryżu stare jest i zagnieżdżone oddawna—a tym sposobem łatwiej tu z niem się uporać, jeżeli nie całkowicie, to przynajmniej częściowo.

Wiecie, łaskawe czytelniczki, o założeniu w Warszawie Bazaru, w którym istnieje sprzedaż wyrobów pracy niewieściej? Ten zakład miał być lekarstwem na chorobę o której mowa, ale obawiam się, czy jego ciężko wlokący się żywot sam chorobliwym nie jest. Redakcya naszego „Tygodnika" postara się dać wkrótce szczegółową o nim wiadomość, tymczasem niech mi będzie wolno wyrazić brak wiary, aby środek tak drobny oddziałać mógł skutecznie w kwestyi rozmiarów tak ogromnych. Sklep po największej części pusty, przytulony cichutko w kąciku między innemi, nawet przy najlepszej woli pań filantropek pomyślnie nie urośnie i złemu nie zaradzi. Dopóki sklep taki nie będzie miał za grunt jaknajszerszego współudziału samych pracownic, dopóki byt jego będzie bladym wykwitem filantropii, nie zaś soczystym i jędrnym owocem usiłowań i zasobów osób interesowanych bezpośrednio, dopóki publiczność nie zdobędzie przekonania, że kupując w tym Bazarze, dokonywać będzie tranzakcyj handlowych, nie zaś funkcyj miłosierdzia — dopóty najzacniejsze zabiegi jego opiekunek na nic się nie zdadzą.

Przed kilkoma laty agitowała się w prasie warszawskiej myśl założenia kasy wkładowo-pożyczkowej dla pracownic igły, któraby stała na silnym gruncie wzajemności. Dziwna rzecz — wobec tego projektu te właśnie, które on miał na celu, zachowały się z zupełną obojętnością! Gotów jestem sądzić, że patrzyły one na sprawę praktycznie: znając swoje siły, wiedziały że nic się z nich nie da oszczędzić na wkład.

A tym sposobem piękna w zasadzie myśl musiała zwiędnąć, jak kwiat na podciętej łodydze. A przecież urzeczywistnienie jej miałoby niezawodnie stokroć pomyślniejsze następstwa, niż Bazar, choćby tylko dlatego, że dałoby początek własnej troski o losy własne, pewnej samodzielności w robocie około własnego dobra. Nie zrozumiały tego pracownice igły i pozostały z jednej strony pod wpływem egoistycznego interesu chlebodawczyń, a z drugiej na łasce filantropii, która wtedy dopiero przychodzi z pomocą, gdy już ona wcale pomódz nie może.

Pytanie panny Heleny: „czy to już tak zostać musi?" powtarzamy tu poraz drugi, polecając je uwadze tych wszystkich, dla których los kilku tysięcy pracujących kobiet nie jest obojętnym. Żeby zaś pytanie to głębiej się wraziło w umysły, pozwalam sobie opisać *dzień biednej szwaczki*, typowej pracownicy igły, podobnej do setek, do tysięcy innych.

Wstaje ona bardzo rano, ponieważ nie ma na to, aby trzymała służącą i musi być sama dla siebie wszystkiem. Ponieważ nie ma i na to, aby suto oświetlać swoje poddasze, przeto pragnie korzystać ze słońca. Musi także pielęgnować swoje paradne okrycie, które jest już dawno przenicowane i kilka razy z gruntu oprane i przeszyte. Uważa również, że jej sukienka, która przed trzema już laty zdradzała wyraźną chętkę wymówienia jej swoich usług, teraz potrzebuje radykalnej restauracyi, aby jej to zapewniło dalsze istnienie. To wszystko przecież trzeba robić samej. Sama też musi na maszynce naftowej zgotować sobie herbatę... która niewątpliwie jest herbatą, choć smakiem i zapachem wcale tego nie dowodzi. Przy szklance tego napoju suchotniczej żółtości, pani zimnego poddasza z niezmiernym apetytem dojada szczupłe resztki małego bochenka chleba, kupionego przed czterema dniami. Doświadczenie nauczyło ją oddawna, że taki bochenek na dni cztery wystarczyć musi, inaczej równowaga jej dochodów i wydatków zrujnowaną zostanie bez ratunku.

O ósmej trzeba być w magazynie, albo w szwalni. „Pani" nie lubi bardzo, gdy się „panienki" spóźniają, i okazuje to w sposób wcale nie dwójznaczny. Jeżeli to jest „pan," żartować z tem nie można. Potrafi on wysypać zpod swoich wąsów taki grad przymówek, że panienki ze strachu dostają febry i czują doskonale, że każde słowo „pana," rozważone na ścisłej szali sprawiedliwości, okazałoby się prostą obelgą. Tymczasem te biedaczki, choć bardzo zazwyczaj głodne i znużone pracą, nie lubią aby je łżono. To już taka dzika pretensya, właściwa wszystkim istotom, na obraz i podobieństwo Boże stworzonym!

Panienki pracują bardzo gorliwie, nie z chęci wprawdzie, ale z musu. Od ósmej do dwunastej siedzą kamieniem, zgarbione, zmęczone... że jednak magazyn ma teraz bardzo dużo roboty, przeto z uderzeniem dwunastej pani oznajmia, że trzeba zostać przez południe. Dla tych, co mieszkają bardzo daleko, jest-to wiadomość obojętna. I tak pozostałyby na miejscu, lub wyszłyby na krótką przechadzkę... słońce tak pięknie świeci za oknem; wydobywają z kieszeni swój obiad, bułkę i serdelek, spożywają go i popijają szklanką wody, zadowolone ze zwykłego trybu życia. Nasza biedaczka jednak, poprzestawszy na resztce chleba i szklance „herbaty," jest po sześciu godzinach kapitalnie głodną... obiecywała sobie w domu lukullusową ucztę z wodzianki i dwóch plasterków szynki. Teraz będzie musiała czekać do wieczora! Możnaby wprawdzie powiedzieć „panu," że kto nie jada, ten pracować nie może, ale panienki nie śmieją czynić uwag, a jeszcze bardziej od chwili, w której jednej z nich pan naderwał ucho w odpowiedzi za uwagę podobną...

Po całodziennej pracy panna wraca do domu dopiero koło jedenastej, bo robota była pilna i trzeba było siedzieć. Gdyby nie chciała, mogła sobie „pójść precz!" — tyle jest innych bez roboty! Mdleje prawie z głodu i ze znużenia, pożera przeto literalnie swój zeschły obiad i siada znów do roboty... dla siebie.

Zasypia potem jak kamień, śniąc o godzinie przymusowego obudzenia, po którem przyjdzie dzień następny, takuteńki sam jak wczorajszy. I tak zawsze! Prawda, że to bardzo ponętne życie, panno Heleno? Przyjrzymy mu się potem jeszcze bliżej, bo ciekawe, bardzo ciekawe, jak konanie wszelkiego

zdrowia i młodości bez pogodnego nieba, kwiatów, wiosny, bez spoczynku i promyka radości, a co gorsza — nadziei!

Maryusz.

MISERERE.

LEGENDA HISZPAŃSKA

Becquera.

(Dokończenie.)

Odważnego dotąd pielgrzyma przejęła trwoga. Ale pragnienie cudu zwyciężyło i uspokoiwszy się nieco, podniósł się z grobowca i pochylił nad przepaścią, z której biło źródło, tocząc wody ze skały na skałę z olbrzymią siłą i hukiem, podobnym do grzmotu.

Podróżnikowi włosy stanęły na głowie. Spostrzegł u przejścia pnące się ku górze szkielety zakonników w zbutwiałych, poszarpanych, cuchnących zgnilizną habitach, a zpod zapuszczonych kapturów kości trupich głów, z wystającemi, pełnemi zębów szczękami.

Szkielety, czepiając się długiemi palcami ściany skał, podchodząc coraz wyżej i wyżej, mruczały nizkim, grobowym, pełnym rozdzierającej boleści głosem pierwsze ustępy psalmu:

„*Miserere mei Deus secundum magnam misericordiam Tuam.*"

Skoro przyszli do przedsionka świątyni, stanęli rzędem, poczem z całą zakonną regułą jeden po drugim idąc, uklękli w chórze, a śpiew psalmu stawał się coraz głośniejszym, uroczystszym. Organy, których dźwięk był podobny do odległego grzmotu, zagrały w takt śpiewanemu psalmowi. Było w nim słychać jęk rozbijającego się o szczyty gór powietrza, szum lecących strumieni, cichy lecz wyraźny szelest spadających kropli nocnej rosy, krzyk sów i pełzanie obrzydliwych płazów.

Wszystko to składało się na olbrzymią całość muzyczną, na coś czego ani pojąć, ani wytłómaczyć niepodobna, na jakieś echa huraganu, będącego akompaniamentem do hymnu pokuty Króla Proroka, z nutami, akordami tak olbrzymiej siły, jak była olbrzymią sama myśl Psalmisty.

Ceremonia odbywała się, a słuchającemu muzykowi zdawało się, że nie należy już do świata żyjących, lecz do krainy fantastacznych, sennych widziadeł, gdzie wszystko przybiera kształty nadzwyczajności.

Wstrząśnienie okropne wyrwało go z tego letargicznego stanu. Zaczął drżeć na całem ciele, zęby mu dzwoniły i zimno przejęło go do szpiku.

W tej chwili duchy podziemnym swym głosem zaczęły śpiewać przejmujące słowa:

„*In iniquitatibus conceptus sum.*"

Kiedy echo tych słów rozległo się po nawach i sięgnęło aż do stropu świątyni, powstał przerażający krzyk, podobny do krzyku ludzkości całej, szukający usprawiedliwienia, pełen boleści świata.

Były w nim rozpaczne nawoływania, wyrzekania się win, monstrualny koncert dusz żyjących w grzechu i nieprawości. Śpiew ten przechodził stopniowo ze smutnych, głębokich a ponurych modulacyj do jakiegoś słoneczniejszego wyrazu, jakby promieni przedzierających grubą chmur osłonę, i w tej samej chwili z nadzwyczajną siłą zapłonęła jasność niebieska. Kościotrupy zakonników zaczęły przybierać zwykłe ziemskie kształty, aureola wieńczyła głowę każdego; sklepienie świątyni rozdarło się i niebo w majestacie, jak ocean światła, przed oczami sprawiedliwych się ukazało.

Aniołowie, archaniołowie, serafiny towarzyszyli temu hymnowi chwały pełnemi tonami olbrzymiej harfy.

„*Auditu me dabis...*"

Nadzwyczajna jasność oślepiła nagle oczy biednego śmiertelnika, pulsa mu bić poczęły gwałtownie, w uszach tętniało — upadł jak rażony piorunem.

III.

Nazajutrz ze wschodem słońca, zakonnicy pobliz-kiego klasztoru przyjęli tajemniczego wędrowca, który u fórty stawił się blady, drżący, z obłąkanym wzrokiem.

— A Miserere? czyś je słyszał? — zagadnął pierwszy pater, uśmiechając się niedowierzająco.

— Tak — odparł muzyk.

— I jakżeś je znalazł?

— Chcę je napisać. Dajcie mi tylko — dodał, zwracając się do przełożonego — schronienie i kawałek chleba na kilka miesięcy, a zostawię wam arcydzieło nieśmiertelne, Miserere mażące grzechy przed Bogiem... uwieczniające imię moje i imię tego klasztoru.

Przełożony, uważając go za pozbawionego zdrowych zmysłów, zezwolił na zatrzymanie w klasztorze, przeznaczając na mieszkanie małą celkę.

I muzyk wziął się do dzieła.

Z nadzwyczajną pilnością pracował dniem i nocą. Czasem przerywał nagle, jakby słuchał odległych, jego tylko uszu dolatujących głosów. Wtedy źrenice mu się rozszerzały i wołał:

— Tak... tak było... niema wątpliwości... Dobrze!...

I pisał dalej z niepohamowaną szybkością. Napisał muzykę pod wszystkie pierwsze ustępy psalmów, lecz przyszedłszy do ostatniego słyszanego hymnu, niepodobna mu było ująć go w całość.

Pisał jedne, dwie, sto godzin... nadaremnie. Twórcza wyobraźnia jego nie sięgała tej wysokości i harmonii, nie sięgała cudu.

Sen zaczął uciekać mu z powiek, tracił apetyt, gorączka owładnęła umysł i obłąkała go zupełnie. Umarł, nie dośpiewawszy cudownego „Miserere," którego urywki, przechowywane dotąd przez zakonników, znajdują się w zbiorach archiwalnych klasztoru w G.



Hygiena i pedagogika od pewnego czasu znajdują u nas coraz głębszych i bardziej zamiłowanych pracowników. Dział ten piśmiennictwa pozyskał świeżo bardzo piękny nabytek w dziele pana H. Hendigery p. t. **„Nauka wychowania,"** w którem mówi wyłącznie o wychowaniu fizycznem, rzecz swą uzupełniając bardzo obfitemi szczegółami ze statystyki i niezbędnemi objaśnieniami z anatomii, fizyologii i hygieny.

Pan H. w „Przedmowie" wskazuje znaczenie wychowania fizycznego; bardzo ubolewa, że w stosunku do tej sprawy zachowujemy się wogóle nad wyraz obojętnie, chociaż ma ona wartość pierwszorzędną w życiu zarówno jednostek, jak i całego społeczeństwa, i choć jednoczy się nierozerwalnie z kwestyą moralnego zdrowia narodu. We „Wstępie" autor wskazuje zadanie pedagogiki i podaje historyą przedmiotu, poczem przystępuje do wykładu. Poczyna go ważnością hygieny, mówi o pokarmach, o mleku, o pożywieniu roślinnem i mięsie, które uważa, zgodnie zresztą z nauką, za fundamentalny pokarm dla człowieka, o napojach, z których najzdrowszym jest woda, o herbacie i kawie, które bardzo często bywają szkodliwe. Ciekawa jest statystyka śmiertelności u niemowląt, czerpana przez autora ze źródeł pewnych, a wykazująca, iż dzieci umierają przeważnie na skutek nieświadomości wychowawczej rodziców. Urządzenie szkół, brak wnich miejsca i powietrza, konieczność wentylacyi, codwugodzinnego spoczynku i ruchu na powietrzu, znaczenie gimnastyki i ostrożność w jej stosowaniu stanowią przedmiot następnego rozdziału, poczem przychodzi rzecz o oddychaniu, poprzedzona wiadomościami odnośnemi z fizyologii. Mówi się potem o wpływie pór roku, o skórze i jej działaniu, o czystości i ochędóstwie, o kąpieli, o porządku w utrzymywaniu ust i zębów, o ochędóstwie w otoczeniu, mieszkaniu, o pokoju dla dzieci, o przechadzkach, odzieży, a wreszcie o hartowaniu i jego niewłaściwościach.

Ruch i spoczynek od pierwszych chwil niemowlęctwa, szkodliwość kołysania, bujania, ciągłego noszenia dzieci, sen, pory snu i potrzeba jego regularności, mózg, jego anatomia i fizyologia, zmysły, ich znaczenie, rozwój, hygiena, a wreszcie poszczególne traktowanie wzroku, słuchu, dotyku, smaku i powonienia stanowią przedmiot ostatniego rozdziału książki, która w zakresie wychowania fizycznego stanowi skończony w sobie zbiór wskazań, dowodzeń i objaśnień, popartych przykładami i cyframi.

„Nauka wychowania" jest, powtarzamy, książką bardzo nauczającą i zajmującą, ale wsposobie opracowania wcale nie popularną. Wykład jest jasny, dokonany językiem czystym, ale czytelnik musi sobie to wszystko skracać i ściągać w pewną całość wskazówek praktycznych, jeżeli pragnie z nich korzystać w doświadczeniu. Rzecz naturalna zresztą, bo praca pana H. nie ma stanowić podręcznika do zwykłego użytku, ale jest też traktowana naukowo i teoretycznie.

— Zbiornikiem zato wskazówek praktycznych w formie najprzystępniejszej jest maleńka broszurka S. Sterlinga, lekarza, p. t. **„Dziecko w pierwszym roku życia."** Nie ma tu żadnych założeń i dowodzeń, nawet objaśnień, mówi się poprostu: tak być powinno, tak robić trzeba, ale podaje się wskazówki postępowania z dzieckiem w jego wychowaniu fizycznem na wszelkie możliwe potrzeby i przypadki. Tak się powinno kąpać, tak karmić, tak pielęgnować, tak spowijać i pościel mu przygotowywać i t. p., a czytelnik musi to przyjąć na słowo autora, który jest lekarzem, uczył się tych rzeczy, zna je i z pewnością dobrze wie, co czynić każe. Dla matek i dla tych, co się wychowaniem dzieci trudnią, broszurka doktora Sterlinga stanowić powinna podręcznik niezbędny do użytku codziennego, a stanowi właśnie poniekąd taki praktyczny wyciąg

z „Nauki wychowania" (dokonany zresztą wcale nie z tym celem), o której mówiliśmy powyżej.

— Powieść dwutomowa Wł. hr. Łosia p. t **„Linoskoczka"** pod wielu względami przewyższa wartością jego „Jędrzka," o którym pisaliśmy niedawno. Język tu lepszy, bardziej opracowany i czyściejszy, a plan powieści obszerniejszy i gruntowniej obmyślany. Jest tu też pewne założenie psychologiczne, które autor przeprowadza dosyć konsekwentnie, choć większego znaczenia i doniosłości mu brak.

Bohaterem powieści jest Jerzy Kostorajski, młodzieniec dwudziestopięcioletni, wychowaniec dwóch kobiet, które pragną dla niego karyery w ożenku. Tymczasem Jerzy zakochał się w woltyżerce cyrkowej, która opiekunkom jego psuje szyki. Żenią go one z jakąś hrabianką, bo „linoskoczka," naprawdę w Jerzym zakochana, uproszona przez nie, usuwa się... dla jego szczęścia. Małżeństwo młodego wartogłowa czyni go nieszczęśliwym, a Jerzy tak się zachowuje, że zerwanem być musi. Przy pomocy starego swojego stryja i opiekuna, „dziwaka," który przecież wie co czyni i szczęście Jerzego stawia wyżej, niż konwenansowe zachcianki jego wychowawczyń, linoskoczka się zjawia, rozkapryszony panicz ją zaślubia i... rzecz się kończy obrazkiem szczęścia tych dwojga dziwolągów — utracyusza i próżniaka z cyrkówką.

Powieść czyta się z zajęciem i nie bez zdziwienia, że pan Adolf Kostorajski, powieściopisarz, w ekspozycyi przeznaczony, jako psycholog, na duchowego mentora dla Jerzego, aż do ostatniej kartki dziwi się tylko, rozpacza, niepokoi, wykrzykuje, domyśla... a nie nie robi nic i wkońcu bierze skromnie sutą remuneracyą za to, że jest wcieleniem tyle właśnie nowego, ile bezkrwistego pomysłu.

— Powieść Józefa Rogosza, p. t. **„Karyerowicz"** jest rodzajem studyum psychologicznego nad dwiema postaciami, a każda stanowi oddzielnego zdobywcę karyery. Jeden, to syn ekonomski, któremu świta w mózgownicy myśl wyniesienia się nad przeznaczony sobie poziom drogą koligacyj. Żeni się ten intrygant z obałamuconą hrabianką na to, aby rychło otworzyć jej zamglone uczuciem oczy na najsmutniejszą rzeczywistość. To tylko fałszerz, kłamca, lichy komedyant, wstrętny samolub, godzien pogardy, a nie miłości. Ale już zapóźno przychodzi prawda i łańcuch nienawistnego wkońcu związku trzeba dźwigać, dopóki sam nie pęknie.

Drugim karyerowiczem jest pan „mecenas" Brzytwicki, kauzyperda najlichszego gatunku, który już z kryminałem się spotykał, choć z niego szczęśliwie wybrnął. Nędzarz ten moralny oszukuje własną córkę, jej męża zdobytego podstępem, a jest wspólnikiem-doradzcą pierwszego karyerowicza. *Ambo meliores.*

Rysunek obydwóch postaci jest trafny, swobodny a misterny. Rzecz się czyta bardzo gładko, chociaż ze względu na styl, dosyć ciężki i bezbarwny, powieści tej do utworów lepszego gatunku zaliczyć nie można. Daleko szczęśliwiej ze stylem tym powodzi się autorowi, gdy ma do czynienia z historyą.

Rz.

Uwaga. W rubryce niniejszej na przyszłość będziemy pomieszczali wzmianki o tych tylko książkach, których wydawcy raczą je nadsyłać pod adresem redakcyi „Tygodnika mód i powieści."

Z chwili bieżącej.

Ś. † p. **Wincenty Korotyński**, zmarł w mieście naszem w dniu 7 bieżącego miesiąca. Nieboszczyk dał się naprzód poznać z utworów poetycznych, drobnych po większej części rozmiarów, ale pełnych uczucia, a niekiedy i głębszej myśli. Następnie zaprzągł się do ciężkiej pracy dziennikarskiej i przez długi szereg lat był współpracownikiem „Gazety warszawskiej" niezmordowanym a mało wymagającym. Obok tego pisywał do różnych pism literackich, a głównie od od początku do „Tygodnika illustrowanego," w którego redakcyi w ostatnich czasach szerszy brał udział. Przyjaciel Syrokomli, czynny brał udział we wszystkich pośmiertnych wydaniach jego poezyj. Językiem rodzinnym władał wybornie i wielce był o jego czystość i poprawność troskliwy. Skromny i cichy, znany był jednak całej Warszawie, zarówno jak szerszym kołom literackim. Ceniono w nim zarówno talent, jak niespożytą pracowitość i uczciwe zasady, którym się nigdy życiem ani piórem nie sprzeniewierzył. Dziennikarstwo traci w nim wielką siłę roboczą i obfite źródło różnostronnych wiadomości, nabytych usilną pracą nad sobą samym; społeczeństwo opłakuje ubytek pożytecznego członka swojego. Jedna i druga szczerba po Korotyńskim niełatwo da się zapełnić.

* **Zbiory etnograficzne**, po nieboszczyku Ogrodzie zoologicznym warszawskim pozostałe, spotkał los od wielu innych zbiorów u nas szczęśliwszy. Dostały się one do Frascatti, którego właściciel, Władysław hr. Branicki, ma podobno otworzyć przystęp do nich publiczności. Spodziewać się należy, że w takich rękach zbiory te uzupełnią się i zczasem przeobrażą w istotne Muzeum etnograficzne.

* **Kościół Św. Aleksandra**, którego rozszerzenie tyle już funduszów pochłonęło, na zupełne swoje wykończenie, jak utrzymują, potrzebuje jeszcze 20,000 rubli. Jest-to jeden więcej dowód, że przeróbki tego rodzaju zawsze są kosztowniejsze od nowych budowli, a nigdy wymaganiom estetycznym tak jak one odpowiedzieć nie są wstanie. W każdym razie kościół wykończyć trzeba; to też przekonani jesteśmy, że pobożność i ofiarność Warszawian i tę próbę przetrwa jeszcze zwycięzko.

* **Zakład hr. Platerówny**, tak chlubnie znany z działalności swojej jako szkoła pracy kobiecej, ma być rozszerzony jeszcze jednym działem, w którym pobierać będą naukę pomocnice w gospodarstwie kobiecem wiejskiem. Pranie, prasowanie, gospodarstwo nabiałowe i t. d., wejdą w program tego działu, który mieścić się będzie na folwarku Chyliczki, o 18 wiorst odległym od miasta Warszawy, a umyślnie na ten cel nabytym. Nie ulega wątpliwości, że pod umiejętnym a doświadczonym sterem zacnej kierowniczki i ten dział, niemniej od innych, w swoim zakresie przysporzy korzyści społeczeństwu naszemu.

* **Schadzka handlowa.** Jak ongi w Krakowie, tak obecnie w Warszawie naznaczyły sobie schadzkę handel wschodni z zachodnim. Walne jarmarki na futra, odbywające się dotąd w Lipsku, mają być stanowczo przeniesione do Warszawy, jako położonej w punkcie zarówno dla obu stron handlujących dogodnym. Z takiego stanowiska środkowego rynku handlowego miał się niegdyś Kraków wcale nieźle; świadkiem tacy Wierzynkowie, którzy królów u siebie podejmowali i królewskiemi darzyli ich upominkami. Od owego czasu upłynęło wprawdzie lat zgórą pięćset, ale główne warunki handlu pozostały po dziś dzień te same i Warszawa więc powinnaby nielada korzyści ciągnąć z tego szczęśliwego swojego położenia.

* **Ogród Krasińskich.** Wiadoma jest historya tego ogrodu. Ludność, która dawniej wyłącznie prawie do niego uczęszczała, jako do przyległego jej głównym siedzibom, zanieczyściwszy go i zniszczywszy, przeniosła się do ogrodu Saskiego, którego zniszczyć z kretesem dotąd się jej nie udało. Opuszczony ogród Krasińskich przedstawia obraz nędzy i rozpaczy, z których go Komitet opiekuńczy nad plantacyami miejskiemi z wiosną podobno wyrwać zamierza. Mimo tej restauracyi, los jego nie rysuje się świetnie. Dawna jego publiczność nie wróci doń z ogrodu Saskiego, bo ona raz zdobytych stanowisk opuszczać niezwykła. Dawna publiczność ogrodu Saskiego, wyparta najazdem krasińczyków, nie ulokuje się w ogrodzie leżącym pod bokiem Nalewek, bo to i zadaleko trochę, i — nie w jej guście. Odnowiony zatem wirydarz nie ożywi się prawdopodobnie bardzo i albo stanie się miejscem przechadzki amatorów samotności, albo zapełni się rojem brudnej i niesfornej dziatwy, która postara się w krótkim czasie zatrzeć w nim wszelkie ślady renowacyi.

* **Budowa halli targowej** na placu po koszarach Mirowskich zbliża się ku urzeczywistnieniu; plany budowy, wykonane przez pp. budowniczych Szyllera i Jabłońskiego, a na konkursie uznane za najlepsze, uzyskały już zatwierdzenie ministeryalne. Z wiosną zapewne budowa się rozpocznie.

* **Jan Galasiewicz**, artysta i autor dramatyczny, który zmuszony był poddać się operacyi odjęcia dwóch palców u nogi, wbrew obiegającym wieściom ma się coraz lepiej. Wiadomość ta sprawi zapewne przyjemność wielu czytelniczkom i czytelnikom naszym, gdyż Galasiewicz, zarówno jako aktor i pisarz, jak niemniej jako człowiek, umiał sobie ogólną zjednać sympatyą.

* **Wystawiana metoda Kocha** zostanie, zdaje się, niebawem finalnie pogrzebaną. Nicość jej stwierdzili, na podstawie własnych doświadczeń, najcelniejsi lekarze Wiednia i Berlina; w szpitalach warszawskich aplikowanie kochainy zostało zakazane, a sam Koch czmychnął z Berlina do—Konstantynopola!... I dotąd jak czmycha, tak czmycha...

* **Zarząd Towarzystwa jedwabniczego** wydał odezwę do swoich członków-korespondentów, która jednak na ogólne zasługiwałaby rozpowszechnienie, jako jasno a zwięźle przedstawiająca korzyści z hodowli jedwabników u nas, niewymagającej ani wielkich nakładów, ani wielkiej pracy.

Jak przy zawiązaniu się Towarzystwa polecaliśmy jego interesa, będące interesami ogólnego pożytku, troskliwej pieczy pań naszych, tak obecnie rekomendujemy im jego odezwę, na podstawie której i tanie sobie i innych o wielu rzeczach tyczących się krajowego jedwabnictwa pouczyć mogą.

.(g.)* **Apetyt Warszawy.** Gród syreni to mięsożerny smok o 460 tysiącach głów, pożerający niesłychanie wielką masę ku nasyceniu go mordowanych zwierząt.

Na potwierdzenie tego dość będzie przytoczyć kolosalne cyfry zabijanego na pokarm dla Warszawian bydła.

Oto pod nożami rzeźników padło wciągu roku ubiegłego 85,516 wołów i krów, 61,544 cieląt, 70,544 baranów i 110,069 wieprzy, razem 327,673 sztuk [illegible] około [illegible] Pok[illegible] spożyt[illegible] ków, g[illegible] które również niemałą stanowią cyfrę.

G. Cz.

ROZWIĄZANIE REBUSA.

Gdy nie stać na dorożkę, dobry i tramwaj.

Odpowiedzi od redakcyi.

P. St. R. w Prużanach. Żałobę po dziadkach nosi się taką samą jak po rodzicach, lecz tylko pół roku, a drugie pół roku kolor czarny i popielaty.

Prenumeratorce z ulicy Senatorskiej. Najlepszy krój sukien jest podług nas francuzki, systemem Wortha. Co zaś do innych rad i wskazówek, udzielić ich nie jesteśmy w możności, pomimo szczerej z naszej strony chęci.

P. Helenie Rud. Adres magazynu pp. Heurich ulica Miodowa, a p. Makowskiego Senatorska; jest-to zupełnie dostateczny adres, ponieważ firmy są znane.

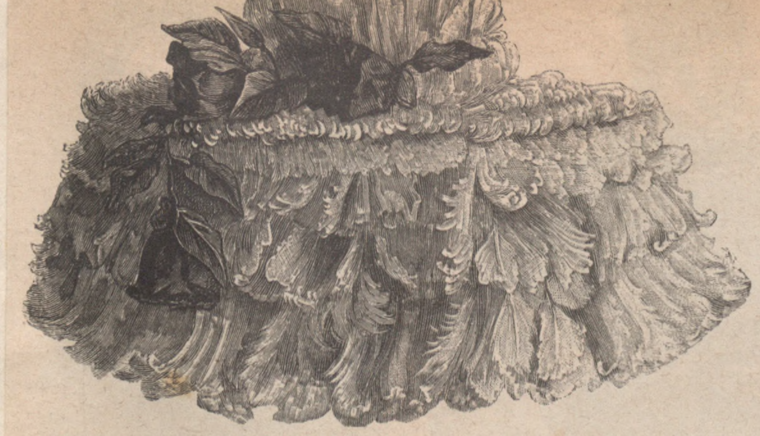
☛ **Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Января 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Dodatek.



N. 21. Przykrycie na lampę.

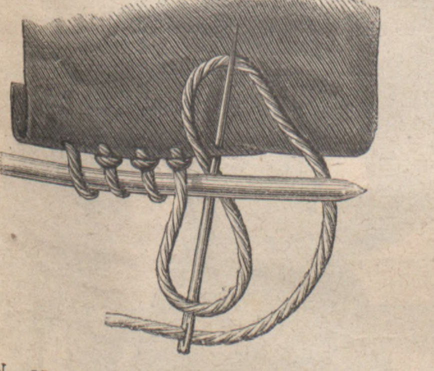
Drugi blacik łączy nóżki u dołu, zaś między pierwszym i drugim dane woreczki pluszowe, przeznaczone do umieszczenia robótki lub różnych drobiazgów. Stoliczek taki, ładnie wykończony, stanowi sprzęcik niezbędny w buduarze damskim.

N. 25—26. Kratka siatkowa do ozdoby sukienek dla dzieci.

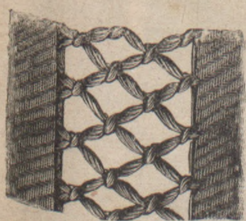
Nowość ładną a pośpieszną w wykonaniu stanowi kratka siatkowa, zastosowana do ozdoby ubrań dla dzieci; odpowiednio przy jakim służy materyale odrabia się z bawełny, włóczki lub kordonku, szersza lub węższa odpowiednio do gustu. Wykonanie tak jak zwykłej siatki, wymaga wałeczka i igły tapicerskiej, zamiast igliczki, w którą nawłóczy się bardzo długą nitką, dla uniknięcia supełków w robocie. Pierwszy rząd roboty zajmuje się wprost w obrąbek lub za brzeg podłożony podwójnie, dalsze rzędy idą jak zwykle w siatce, a ostatni przyszywa się podług r. 26 do drugiego brzegu.

N. 27. Koszyczek na drobiazgi.

Odpowiedni do sypialnego pokoju lub do garderoby, pleciony z łyczka w formie okrągłej, ozdobiony jest upięciem z kawałka kretonu w kolorowe kwiaty liczącego 52 centym. w kwadrat i z drugiego 54 c. szerokiego a 26 c. długiego. Pompony z kolorowej włóczki i kokarda z wstążki, dopełniają przybrania ułożonego podług r. 27.



N. 25. Wiązanie pierwszego rzędu siatki. Patrz ryc. 26.



N. 26. Kratka siatkowa do przybrania sukienek dla dzieci. Patrz ryc. 25.

N. 28 i 29. Sukieneczka bluzkowa dla dziewczynki.

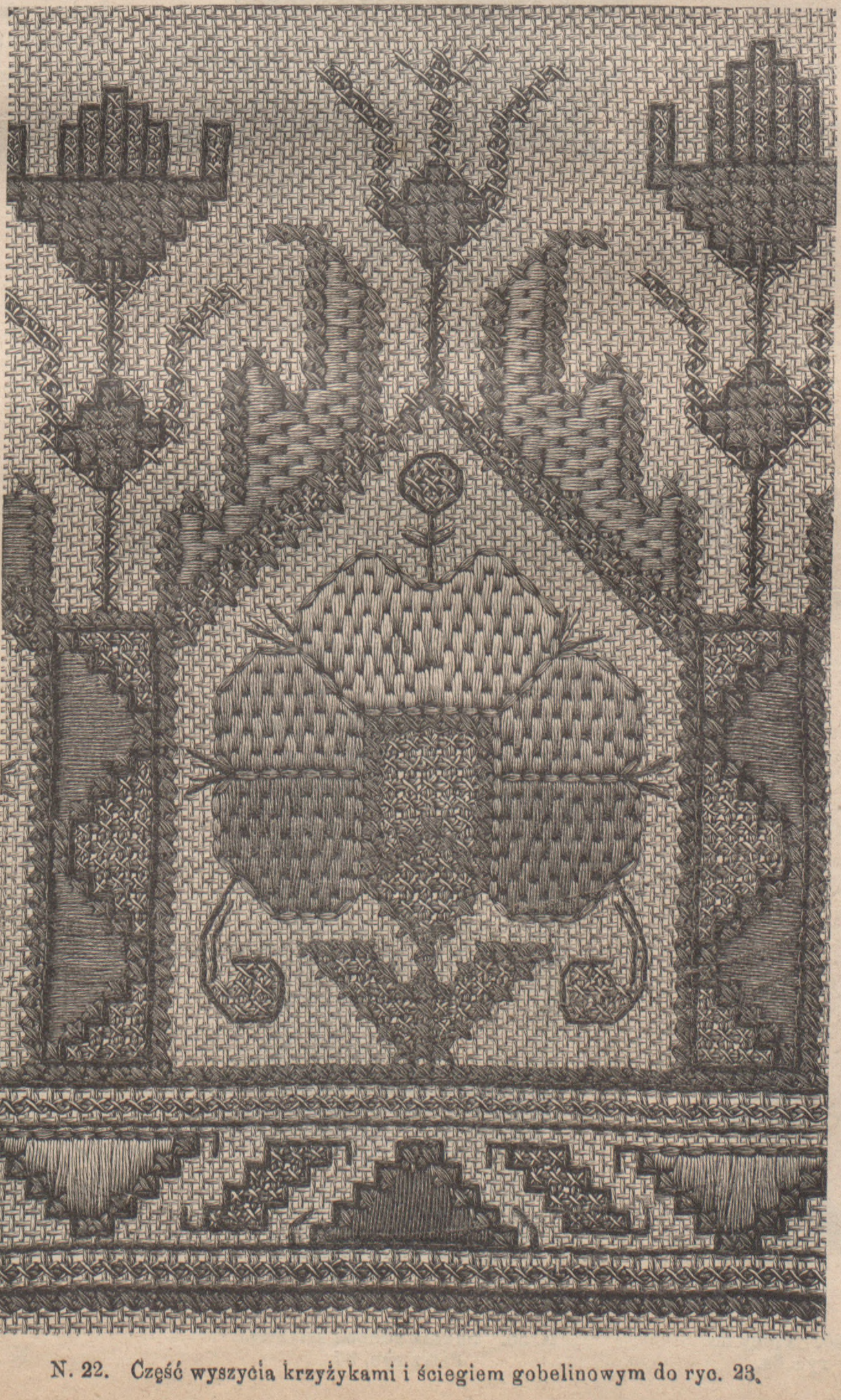
Może być odrobiona z droższego lub taniego materyału; model był z różowego jedwabnego bastu, dającego się prać. Spódniczka podszewkowa z różowej satynki liczy 42 c. długości, 150 c. szerokości i przykryta jest zwierzchnią bastową, 250 c. szeroką, zmarszczoną w górze u dołu zakończoną obrębem 5 c. szerokim i trzema zakładkami po $1^1/_2$ c. szerokiemi. Na r. 28 dajemy wymiar sukienki, a oznacza połowę części przedniej, b połowę pleców zapiętych w górze na guziki; górny brzeg przodu jest dwa razy przemarszczony do 29 cent. szerokości, kaźda połowa pleców do $12^1/_2$ c. i wszyte w pasek $2^1/_2$ c. szeroki, przykryty pliską stanowiąca zarazem ramiączka. Podszewkę staniczka daje się gładką i do dolnego jej brzegu przymarszcza wierzch, podszyty listewką do ściągania. Krótkie rękawki przemarszczone w bufki z nagłówkiem. Szarfa z tego samego materyału liczy 216 c. długości, a 44 c. szerokości i jest przewleczona z boków pod wązkiemi pateczkami, 11 c. długiemi.

N. 30. Sukieneczka z karczkiem, zdobna wszywkami siatkowemi.

Wykonanie wszywki siatkowej opisaliśmy przy ryc. 25—26, dodamy tylko, że przy sukience r. 30 kratki siatkowe liczyły $2^1/_2$ i 5 c. szerokości i były odrobione z ponsowej angielskiej włóczki, materyał stanowił granatowy szewjot. Na staniku zapinanym z tyłu, paski materyału i siatki, odznaczały karczek, do którego przyszywa się bluzkowe przody i plecy przemarszczone w górze i u dołu, i wszyte w pasek 8 c. szeroki, w który wszywa się także spódniczkę 41 c. długą, złożoną z bryta przedniego 50 c. szerokiego, ozdobionego dwoma rzędami wszywki siatkowej i z gładkich tylnych brytów 145 c. szerokich. Szarfa 34 c. szeroka ozdobiona siatką i frendzlą ponsową. Rękawy mają sztylpy 12 c. wysokie. Pod siatkę trzeba wszędzie podłożyć materyał.



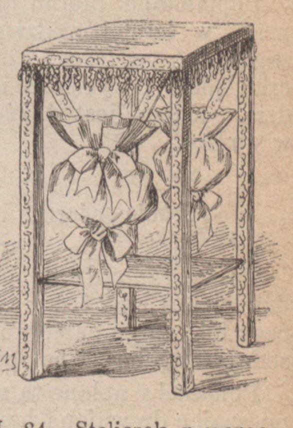
N. 20. Kapelusz okrągły z wyginanem rondem.



N. 22. Część wyszycia krzyżykami i ściegiem gobelinowym do ryc. 23.



N. 23. Przykrycie na poręcz sofy. Patrz ryc. 23.



N. 24. Stoliczek z woreczkami (vide poches).

N. 31. Gwiazda jako postument do fotografii.

Podstawę stanowi gwiazda, mająca 32 c. średnicy, wycięta z deseczki drewnianej 1 c. grubej, politurowanej z obu stron, na niej przytwierdza się druga gwiazda z tektury, 28 c. średnicy, pokryta kolorowym pluszem—promienie pierwszej liczą po $10^1/_2$, drugiej po 9 c. długości. Połączenie a zarazem przyozdobienie stanowią gwoździki małe złote i większe srebrne, nabijane w deseń podług r. 31. Fotografie wsuwa się między brzegi gwiazd; jeżeli gwiazda ma wisieć, dodaje się uszko przy jednym promieniu, jeżeli stać to trzeba przybić podstawkę od spodu.

N. 34—35. Suknia wizytowa.

Model odrobiony był w kolorze czarnym, który zmienić można podług upodobania; suknia składa się z gładkich brytów 267 c. szerokich i z adamaszkowego bryta 85 c. szerokiego, danego z prawego boku. Brzeg górny z przodu wszyty w pasek, z tyłu ściśle zfałdowany i przypinany na staniku agrafką szmuklerską (patrz r. 35). Riusza z siepanej lub w ząbki wyciętej materyi, układana w potrójne kontrafałdy, 9 c. szeroka, zakończa bryt adamaszkowy. Stanik z krótką baskiną, zapięty z tyłu na kryte haftki, jest z adamaszku, zaś przybranie fałdowane, riusza i rękawy są z materyi gładkiej.

N. 36—37. Suknia zdobna szlakiem.

Rycina 36 przedstawia suknię z białego sukna, zdobną szlakiem opisanym i przedstawionym na ryc. 19, zaś na r. 37 dajemy suknię z pięknej czarnej materyi, przybraną szlakiem 9 i 15 c. szerokim, na tle czarnego tiulu wyszytym szmelcowanemi perełkami i aplikacyą czarnych aksamitnych kwadratów. Spódnica podszewkowa oszyta falbaną 12 c. szeroką; stanik ma przody fałdowane, skrzyżowane skośnie. Szlak przechodzi wzdłuż nakształt bretelek, krzyżuje się u dołu pleców i spada w końcach 30 c. długich, ozdobionych grelotkami. Rękawy bufiaste na ramionach, u ręki zapinane na guziki.

Praktyczne rady.

Bielenie zżółkłéj bielizny.

Na dnie beczki postawić garnczek a na nim skorupkę z rozżarzonemi węglami, posypać drobno utłuczoną siarką, a na wierzchu beczki zawiesić przetak łyczkowy, okryć wilgotnem prześcieradłem, włożyć w niego zżółkłą bieliznę, żagnoty, perkale i zawinąć dobrze płótnem.

Po kwadransie przewrócić trzeba bieliznę na przetaku, ponowić posypanie siarką i potrzymać kwadrans.

Tak samo postępuje się z żółkłemi tiulami, koronkami i t. d.

Wywabienie plam z atramentu.

Poplamione płótno natrzeć solą szczawikową i wyprać w letniej wodzie; gdy jeszcze ślady zostaną zagotować na łyżce cynowéj soku cytrynowego, umaczać plamy, wycierać i znów wyprać w letniéj wodzie. Dobry jest także chlorek wapna rozpuszczony w wodzie.

Pranie pończoch i skarpetek bawełnianych.

Po wypraniu dwurazowem pończoch z mydłem w wodzie ciepłéj, ułożyć je w kociołek pobielany lub garnczek blaszany i zalać wodą, w któréj rozpuszczona była soda, licząc na 24 par pończoch ćwierć funta sody.

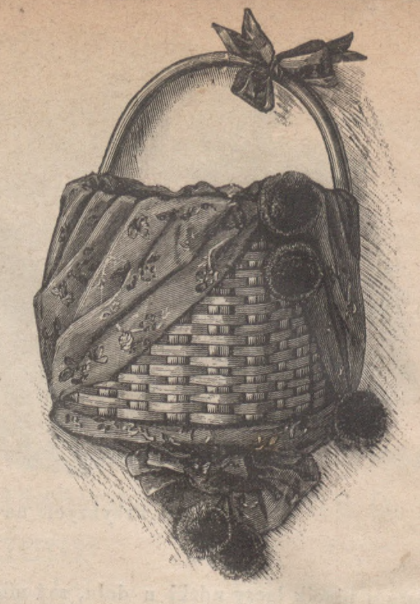
Pończochy nalane tą wodą zwolna zagotować trzeba, mieszając drewnianą łopatką, po zawrzeniu wody zaraz wyjąć na balję, wyprać z mydłem a później wypłukać w zimnej wodzie z dostateczną ilością farbki.

Na skarpetkach jeżeli zostaną plamy brunatne od skóry, po wypraniu i wysuszeniu zwilżyć je trzeba chlorkiem wapna, wycierać i zaraz płukać.



N. 29. Sukienka wycięta dla dziewczynki. Patrz ryc. 28.

N. 30. Sukienka z karczkiem. Patrz ryc. 25—26.



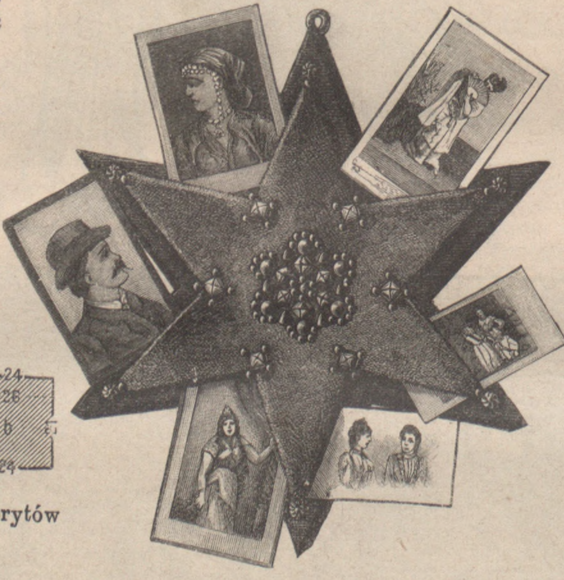
N. 27. Koszyczek na drobiazgi.

Pranie czarnéj wełnianej i jedwabnej materyj.

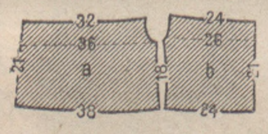
Wełniane wyroby prać się mogą na balii, jedwabne zaś na stole lub desce, maczając miękką szczotkę lub gąbkę w płynie, złożonym z wody ciepłéj i żółci wołowéj. Po trzech razowem wypraniu płucze się w czystéj wodzie i gumuje wodą karukową.

Przygniecіony włos czyli kutner na aksamicie wyprostować.

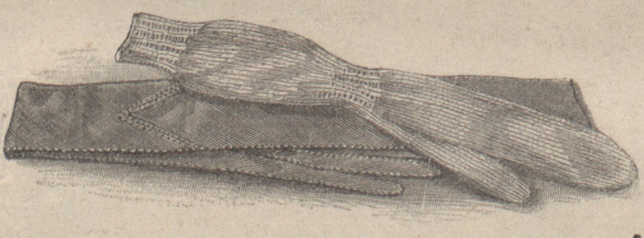
Umaczać gąbkę w zimnej wodzie i wilgotną zwilżać lewą stronę aksamitu, gdzie włos jest przygnieciony, później postawić żelazko gorące od prasowania na podstawce żelaznej i przeciągać po nim miejsce zwilżone aksamitu także po lewéj stronie, podnosząc włos ostrożnie delikatną szczoteczką, kawałkiem suchego aksamitu, lub sukna.



N. 31. Gwiazda jako postumencik do fotografij.



N. 28. Wymiar brytów do ryc. 29.



N. 32. Rękawiczki balowe szwedzkie.

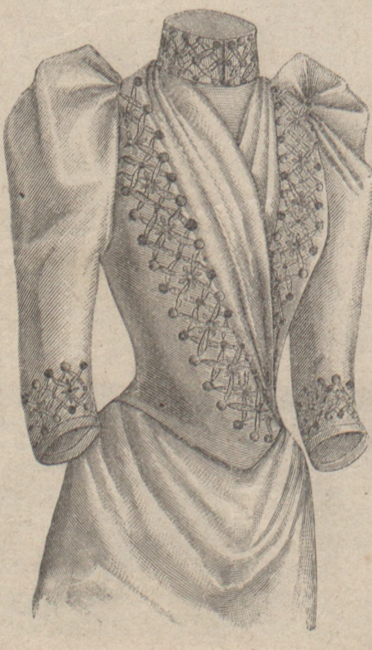
N. 33. Rękawiczka do wciągnięcia na jasne rękawiczki.



N. 34. Suknia wizytowa.



N. 35. Plecy do ryc. 34.



N. 36. Suknia zdobna szlakiem. Patrz ryc. 37.



N. 37. Suknia zdobna szlakiem. Patrz ryc. 36.